

B A S I A

ANTONINA SADOWSKA.

B A S I A.

TOM TRZECI.



WARSZAWA

Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.
Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

—
1907.

Jednym z częstszych gości u pani Ady był ów „lalkowaty“ młodzieniec, pan *Jean de Vautours Recki*. Zkąd u zwykłego polskiego szlachcica wziął się tak pretensjonalny, cudzoziemski przydomek — nikt nie wiedział dokładnie, ale opowiadano sobie, że podobno kiedyś jakiś pradziad Reckich ożenił się z Francuzką i że, mieszkając w Paryżu, dodał sobie nazwisko żony. Odtąd jednak minęło już bardzo wiele lat i zapomniano o przydomku, dopiero ostatni potomek tego rodu, zmanierowany i zfrancuziały kawaler, odgrzebał w starych papierach całą historję pradziada i skrzętny z niej zrobił użytek, każąc się nazywać panem *Jean de Vautours* — Reckiego zaś opuszczał, to też z czasem przywykli wszyscy do dobrowolnie zmienionego nazwiska, a nawet byli i tacy, którzy wcale nie wiedzieli o istnieniu drugiej jego połowy. Do tych ostatnich należała

Basia. Ale pewnego dnia, przerzucając leżące w salonie pani Ady wizytowe karty, dostrzegła nazwisko Reckiego, więc wnet, z właściwą jej umysłowi subtelnością, jęła sobie przypominać dawne, a tak zawsze sercu drogie wspomnienia. I stanął jej przed oczami chłopiec o twarzy okrągłej, obramowanej w kasztanowate loczki, ubrany w krótkie spodzienki, sznurowane buciki i obcisły szpencerek... Śmieszny był bardzo... i wciąż paplał po francusku, a po drzewach bał się łązić i nie jadł prosto z ziemi wyrwanych rzodkiewek... Fe! tchórz!... Ojciec zaś jego przyjechał, aby kupić bułanki Felisia... ostatnią jego własność... i jak się jej wówczas zdawało, nietykalną świętość...

Wtem staje przed nią *Jean* i kłaniając się tak nisko, że widać rozbiór przecinający małą jego główkę na dwie równe połowy, wita się:

— *Bonjour mademoiselle!*

— Ach, to pan!—woła Basia i zarumieniona, recytuje jednym tchem:—Czy pan wie, że my się znamy już od bardzo dawna... bo pan był kiedyś w Żabieńcu, a ojciec pański kupował u nas konie?...

— Tak, pani... pamiętam to wszystko doskonale, a panią poznałem zaraz wtenczas na balu...

— Więc czemu mi pan tego nie powiedział?...

— Bo... nie chciałem pani zrobić przykrości... — odpowiada zmieszany, a w jego szafirowych, porcelanowych oczach odbija się wzruszenie, więc chcąc je ukryć, przysuwa sobie krzesło i dodaje:— Ja zaś z zasady unikam wspomnień... jestem bowiem wrażliwy i zdenerwowany, więc obawiam się o serce... A pani była wówczas strasznie nieprzyjemną i niezdolną dziewczynką... ale dzielną i kochającą... O! bo ja nigdy nie zapomnę, jak się pani uniosła, gdym jej powiedział, że mój papa ma kupić bułanki... Tak!... przywiązanie pani do brata było poprostu fenomenalne... Moja mama nie chciała wierzyć, gdym jej tę całą historję opowiedział...

— A czy bułanki żyją jeszcze?

— A jakże! żyją!... i są moją własnością, bom sobie wyprosił u papy, żeby mi je podarował. A nuż—myślałem—pan Kalicki zechce je odkupić.. dla siebie, albo... dla pani?...

Basia spojrzała z pod oka, a choć usta milczały, oczy jednak wyrażały wielką wdzięczność. Po chwili znów spytała:

— Czy te bułanki mają dzieci?

— Mają... aż pięcioro, a wszystkie są zupełnie do siebie podobne i bardzo piękne, to też czwórka moja jest sławną na całą okolicę...

Dziewczyna westchnęła cichutko, bo żal jej było koni, Żabieńca i wszystkiego, co